

# Przeegrany

Fatos Kongoli

1

Mieszkaliśmy wtedy w tym samym dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią, w którym mieszkamy także teraz. Miałem i mam siostrę starszą ode mnie o pięć lat. Ale ona nie odgrywa żadnej roli w mojej historii, jeśli można nazwać historią przeciętność mojego życia. Moje życie było byle jakie, było życiem człowieka, który był i pozostał nikim, życiem anonimowym i roztopionym w anonimowości obskurnej dzielnicy w obskurnym miasteczku, choć blisko stolicy. Siostra stale przebywała poza domem. Kiedy byłem mały, mieszkała w akademiku szkoły pedagogicznej, później otrzymała nakaz pracy w wiejskiej szkole na północy i tam została.

Blok, w którym mieszkam, znajduje się blisko centrum miasteczka. Naprzeciwko, po drugiej stronie skweru, stoi drugi blok mieszkalny ze sklepem spożywczym, sklepem z materiałami, zakładem krawieckim oraz barem na parterze. Ten budynek, a zwłaszcza plac stały się sławne dzięki barowi. Dochodziło w nim do najsłynniejszych bójek między pojedynczymi osobnikami albo rywalizującymi grupami, bójek, którymi miasteczko zbyt nie przejmowało, może dlatego, że jego życia nie można sobie wyobrazić bez tego rodzaju wydarzeń, a może dlatego, że ludzie do nich przywykli, podobnie jak później przywykli do oglądania filmów na ekranach telewizyjnych. Wtedy w miasteczku nie było jeszcze żadnego telewizora. Ale kwitła czarna kronika. Większość mieszkańców uważała, że o barwności tej kroniki decydował kurz. W połączeniu z oparami alkoholu doprowadzał moich współplemieńców do wściekłości. Są oni niezwykle namiętni i do bólu zazdrośni. Dwie rzeczy, które nie idą w parze. Prócz tego w większości są to robotnicy o potężnych barach i pięściach. Czego więcej trzeba dla rozkwitu czarnej kroniki? W istocie nigdy nie została spisana i po informacje socjologowie mogą zwracać się do kompetentnych organów, które, jak sądzę, posiadają pełen wykaz tego rodzaju postępów. Możliwe, że tam znajdują też teczkę niejakiego Thesara Lumi. To ja.

Mówię „może”. Chyba nadaję sobie zbytnią rangę, sądząc, że mogę mieć teczkę. Byłem i jestem niepozornym osobnikiem i tym pokrząpającym przypuszczeniem o teczce nie chcę w żadnym wypadku wyrządzić przykrości tym, którzy zostali uznani za godnych dostąpienia tego zaszczytu. Miło mi w tym wypadku wierzyć głosom tych, którzy mówią, że nie ma znaczenia, czy ktoś jest ważny, wystarczy, że rzuci cień na ziemię i już ma swoją teczkę. Jeśli tak, to byłbym bardziej niż szczęśliwy, ponieważ to by oznaczało, że w czasie, kiedy myślałem, że nie istnieję na tym świecie, byli inni, którzy myśleli inaczej. Naprawdę jestem im bardzo wdzięczny.

Sprawiam sobie przyjemność, a więc zakładam, że miałem teczkę. Nie wiem, co mogło w niej być i z pewnością nigdy się nie dowiem, ale jedno mogę powiedzieć: brakuje w niej prawdziwych faktów dotyczących czynów, które w taki czy inny sposób mogłyby zostać uznane za działalność przestępczą. One nie mogą się znajdować w teczce, ponieważ wtedy, kiedy je popełniałem, byłem dzieckiem. Popełniałem je w czasie, kiedy nieoczekiwanie, z niezrozumiałych powodów, mój ojciec podporządkował się Szalonemu Xhodzie i stracił cały szacunek w moich oczach. A ja postanowiłem się zemścić.

W tym miejscu do mojej opowieści wkracza Vilma. A ściślej moje wspomnienie o niej. Vilmy już nie ma. Od dawna.

## 2

W mojej głowie czas się miesza, dlatego trudno mi powiedzieć, czy już w dzieciństwie Vilma była dziewczyną, o której marzył każdy chłopiec. Trudno mi powiedzieć, czy już w dzieciństwie była kością niezgody wśród miasteczkowych chuliganów. Mój ociężały umysł z trudem przecina warstwy lat, tę mglistą kurtynę, za którą rozciąga się świat dzieciństwa, i wreszcie staje mi przed oczami Vilma. Ta, którą znałem, kiedy byłem chłopcem, a sobie wydawałem się mężczyzną. Ponieważ w naszym miasteczku chłopcy szybko mężnieli.

Udaje mi się dojrzeć ją poprzez tę mgłę. Oto, gdzie jest. Za żelaznym ogrodzeniem. Zawsze była za ogrodzeniem i stamtąd obserwowała przechodniów na ulicy. Natomiast dzisiaj za takim samym jak kiedyś czarnym ogrodzeniem przechodnie mogą zobaczyć siedzącego na ławce Szalonego Xhodę, z dzikimi oczami obłąkanego. Stróżuje tam jak pies. Jego pomylonemu umysłowi wydaje się, że Vilma jest w środku, a on czeka w gotowości z metalowym prętem w ręku na zbirów. Nieszczęsny, nie wiedział, że Vilma była niedotykalna. Nie wiedział, że jego groźny cień nikogo nie mógłby powstrzymać. Ktoś inny strzegł Vilmy i biada temu, kto odważyłby się dotknąć choćby +

kosmyka jej włosów. Nawet gdyby Xhoda rozpuścił sto psów wokół domu, nawet gdyby posłał za nią stu tajniaków, by śledzili ją na ulicy, nie strzegłby swojej córki lepiej niż Fagu.

Jest mi przykro. Stoję na progu szaleństwa. Chcę mówić o Vilmie, a pojawia się przede mną Fagu. Chcę przypomnieć sobie jej czyste oczy w kolorze morskiego błękitu, a mam przed sobą czarne, złe oczy Fagu. Z ledwością przecinam gęstą mgłę, by odnaleźć tę spokojną, inteligentną twarz, ale wciąż napotykam wiecznie ponurą twarz Fagu. Do końca moich dni te twarze będą się ze sobą łączyć. Jak tylko pojawia się jedna, natychmiast napływa druga. A potem nadchodzi straszna chwila, kiedy widzę zniekształcony obraz, twarze nakładają się na siebie. Vilmafagu albo Faguvilma. Wszystko wykrzywione, bezbarwne. Wszystko okaleczone, bez wyrazu. Śmierć i rozkład nie zeszczyłyby bardziej twarzy. Choć niezbyt często, ten obraz dręczy mnie we śnie, jakby mi chciał przypomnieć, że nigdy się od niego nie uwolnię. Budzę się zlany potem, serce mało mi nie wyskoczy z piersi. Później, prześladowany przez senny koszmar, cały dzień spędzam w barze. Pod koniec pierwszego podwójnego koniaku coś się zaczyna poruszać. Widocznie koniak odgrywa rolę smaru, który naczyniami krwionośnymi dostaje się do mózgu i naoliwia zardzewiałą sieć mojej kory mózgowej. Po pierwszym kieliszku następuje rozluźnienie. Zaczyna się także moje żmudne wyzwalanie. Ale jeszcze jest za wcześnie. Ruch ustaje. Prawie całe usta Vilmy i jej zaciśnięte wargi są white w żuchwę zębów Fagu. Jej nos jest trochę przesunięty, podobnie oczy, kontury twarzy. Z doświadczenia wiem, że po drugiej lampce twarze zachodzą jedna na drugą, a dokładniej połowa twarzy Fagu przykrywa połowę twarzy Vilmy, dwie pozostałe połowy są wolne. Wtedy śpiesznie sięgam po koniak, tego widoku nie mogę znieść. Po trzeciej podwójnej lampce twarze ledwie się stykają, a po czwartej rozłączają całkowicie. Potrzebna jest piąta, aby mroczny obraz Fagu znikł, bym wreszcie został sam na sam z Vilma.

Oto, gdzie jest, za żelaznym płotem. Ma na sobie białą sukienkę z paskiem w talii. Jej długie do ramion, kręcone włosy lśnią. Jest blondynką, dlatego w słońcu, z daleka wyglądają jak pokryte złotem. Mogę prawie na pewno powiedzieć, że sukienka jest ślubną suknią. Jednakże plan, który uknułem, by zemścić się na Xhodzie, nie polegał na jej porwaniu, by uczynić z niej swoją żonę, choć ubrana w taki sposób wyglądała jak panna młoda. Patrzyłem na nią oczami bandyty, który ma przestępcze zamiary. Jakie to były zamiary, powiem później. Najpierw chcę wyjaśnić coś, o czym wiedzieli wszyscy chłopcy z mojego pokolenia w miasteczku, zgraja dwunastoletnich-trzynastoletnich urwisów: Vilma była wybranką Fagu. I jako taka znajdowała się pod czujną ochroną jego grupy, do której należały największe szkolne zabijaki. Vilma wiedziała o tym. Miała, podobnie jak ja, dwanaście lat. Natomiast Fagu miał trzynaście, był o rok starszy.

Nie mogę powiedzieć, co sądziła Vilma o roli, jaką wyznaczyli jej inni. Nawet o tym nie myślałem. Była to konwencja, którą akceptowałem, jak każdy w moim wieku, kiedy bawiliśmy się w męża i żonę, zabawę, w której każdemu chłopcu-mężowi przyporządkowana była dziewczynka-żona. Jeśli chodzi o mnie, to się w to nie bawiłem. Uważałem to za głupoty niegodne chłopca, któremu nie przystoi przebywać w towarzystwie dziewcząt. Jeśli Fagu podobała się głupia zabawa w męża i żonę z Vilmą, to jego sprawa. Moim zdaniem, było to świadectwo kompromitujące i dziwiłem się, że banda chuliganów toleruje to i uznaje Fagu za swego herszta. Krótko mówiąc, Vilma nie weszłaby do mojego życia w takim stopniu i w taki sposób, gdyby nie przyszła mi do głowy myśl o zemście na Xhodzie.

Często staram się przekonać siebie, że to wszystko było zbiegiem okoliczności, zrządzeniem losu. Niestety, podobnie jak całe moje pokolenie, dorastałem bez wiary w Boga. Słyszałem, jak mówiono, że ludzie wierzący znajdują pocieszenie i duchowy spokój w sentencji „tak zostało zapisane”. Człowiek wierzący wierzy w przeznaczenie. A ja, który w nic nie wierzę, jak mam znaleźć pocieszenie? Nie wierzę, że szubrawcy tego świata odpokutują za swoje grzechy w ogniu piekieł, nie wierzę, że dobrych ludzi spotka nagroda w raju. Chcę jednak wierzyć, że istnieje Sąd Ostateczny. Uchwyciłem się tej słabej nadziei, gdyż w przeciwnym razie, w nieskończonym bezsensie mojej egzystencji nie byłoby niczego, co mogłoby mnie utrzymać przy życiu.

Przekonałem się wkrótce, że zemsta na Xhodzie nie będzie sprawą łatwą. Początkowo chciałem wybić szyby w oknach jego domu, willi trochę oddalonej od centrum, otoczonej wysokim żelaznym ogrodzeniem, pokrytym w całości pnączami. Obok niej biegła wąska uliczka, skąd mogłem łatwo rozbić wszystkie szyby. Zrezygnowałem z tego pomysłu, ponieważ w ciągu dnia było na niej wielu przechodniów i niemożliwe było nie rzucić się w oczy. Natomiast w nocy powstrzymywał mnie strach przed psami. W nocy po miasteczku waleśały się watahy bezdomnych psów. Odrzuciłem także wariant z włożeniem żmii do szuflady dyrektorskiego biurka. Nie dlatego, że nie można było znaleźć żmii. Cyganie znad rzeki mogliby mi ją złapać w każdej chwili. Uznałem, że dostanie się do gabinetu dyrektora będzie prawie niemożliwe, a jeszcze bardziej otworzenie szuflady jego biurka. Znane były trzy takie próby i wszystkie zakończyły się niepowodzeniem. Musiałem więc ruszyć głową i znaleźć inny sposób, by się zemścić. I znalazłem.

Pomysł zrodził się przypadkiem. Pewnego dnia na boisku za szkołą, gdzie zbierała się banda Fagu, zobaczyłem scenę, która sama w sobie nie była niczym nadzwyczajnym. Fagu bił chłopca, jednego z tych, którzy mieszkali nad rzeką, a jego kumple stali dookoła i się gapili. Z daleka scenę tę obserwowało wielu innych chłopców. Wszystko przebiegało w milczeniu. Bez żadnego +

jęku cygański chłopiec znosił bicie, póki Fagu się nie znudził i go nie puścił, nie zapominając dać mu kopniaka w tyłek. Było nie do pomyslenia, aby ktoś przyszedł Cyganowi z pomocą. Był niski i chudy, jeden z nielicznych znad rzeki, którzy regularnie chodzili do szkoły. Miał na imię Sherif. Chodził do piątej klasy, do piątej A, natomiast ja byłem w piątej C. Wiedziałem o nim jeszcze coś, co trochę później okazało się szczególnie ważne. Jego ojciec, niski Cygan, równie chudy jak syn, w różnych porach roku zajmował się zabiowaniem bezpańskich psów. Mówiono, że gdyby tego nie robił, groziło niebezpieczeństwo, że kundle opanują i zniszczą miasto. Używał do tego celu kawałków zatrutej wołowej wątroby, która działała błyskawicznie.

Zadzwonił dzwonek kończący dużą przerwę. Boisko za szkołą opustoszało. Sherif został sam w rogu. Nie wiem, co mnie skłoniło do rozmowy z nim – litość czy pogarda wobec Fagu. Bo gardziłem Fagu. Był pyszałkowaty i brutalny. Wtedy dowiedziałem się czegoś, co utkwilo mi w głowie: Fagu pobił Sherifa, ponieważ poprzedniego dnia dokuczał w klasie Vilmie, a ona podobno poskarżyła się Fagu. Paskudna, pomyślałem, paskudna córka paskudnego ojca. Paskudna jest cała trójka, ojciec potwór, ona i ten rozrabiaka, który się poniża i staje narzędziem w rękach tej smarkuli. Bez większego trudu namówiłem Sherifa, aby został moim współnikiem.

Prowadziłem tę grę z bezprzykładną hipokryzją.

Mówię hipokryzja. Wtedy nie znałem jeszcze tego słowa. Ale chyba od tego czasu hipokryzja weszła mi w krew. Gdyby mi ktoś wytłumaczył, co ono znaczy, może nie stałbym się taki. Nikt mi nie wytłumaczył. Od pierwszej klasy mieliśmy w szkole lekcje wychowania moralnego. Nie pamiętam, aby któryś z nauczycieli wyjaśnił nam pojęcie hipokryzji. Pamiętam co innego: nauczyciele zachowywali się inaczej, gdy nie było dyrektora, a inaczej w jego obecności. Często udawali, kłamali przy nas, ale żaden z nas nie pisał słówka. Im bardziej baliśmy się Xhody, tym bardziej go nienawidziliśmy. Z tego punktu widzenia Xhoda niewiele się różnił od nauczycieli. Zauważyłem, że kiedy przyjeżdżał jakiś inspektor, dyrektor zachowywał się inaczej niż zwykle, był grzeczny, nadskakujący, okłamywał i oszukiwał inspektora prawie tak samo jak nauczyciele oszukiwali i okłamywali jego. Wszystko było cudowne. Dorastaliśmy w przekonaniu, że jesteśmy najszcześniejszymi dziećmi pod słońcem. Tak mówiły słowa piosenek, których się uczyliśmy.

Mimo to miałem powód, by wątpić, czy rzeczywiście byliśmy najszcześniejszymi dziećmi na świecie. Nie wiem, jak było w domach kolegów, ale w moim widywałem między rodzicami sceny czasami tak gwałtowne, że ciarki przechodziły mi po plecach. Aby nie być źle zrozumianym, podkreślam: mój ojciec był człowiekiem bez nałogów. Nie wiedział, co znaczy alkohol i tytoń,

i jestem przekonany, że nie był także kobieciarzem. Poza tym moja matka od zawsze rządziła w domu. Był ekonomistą, kierownikiem księgowości, matka zaś szwaczką. Wiedziałem, że starali się nie kłócić w mojej obecności. Ale nie zawsze im się udawało. Dziwiłem się, ponieważ w większości wypadków kłótnie zaczynały się od drobnostek. Nie pokłóciłbym się nigdy ze swoimi kolegami o takie głupstwa. Jednakże burza wybuchała, burza słów z oskarżeniami i kontroskarżeniami. Pierwszy miał dość ojciec. Wtedy jakby uchodziło z niej powietrze, gdy zabrakło przeciwnika, milkła także matka. Wówczas w głuchoj ciszy, która zapadała w pokoju, słyszałem westchnienie ojca: „Boże, co za pieskie życie!”. A mnie przychodziło do głowy, że człowiek nie może być jednocześnie najszczęśliwszym na świecie, jak mówiły piosenki, których się uczyliśmy, i żyć jak pies, jak mówił ojciec. Taki wniosek jeszcze bardziej gmatwał wszystko i stawiał przede mną następną zagadkę. Ma ona związek z aktorskimi zdolnościami moich rodziców. Ciężko mi o tym mówić, ale to prawda. Moi rodzice byli aktorami.

W naszym domu mieszkał niejaki Hulusi. Był niski i często do nas przychodził. Pamiętam, że jadł bez umiaru i mógł opróżnić butelkę rakii bez ruszania się z miejsca. Ze sposobu, w jaki rozmawiali o nim moi rodzice, wywnioskowałem, że przy pierwszej lepszej okazji chwycą go za kark i wyrzucą przez okno. Słyszałem, jak to mówił ojciec. Jednakże upragnionej sceny – wierzyłem, że ona nastąpi, że mój ojciec wyrzuci przez okno dwukrotnie mniejszego od siebie Hulusiego – niestety, nigdy nie zobaczyłem. Czekałem, aż ojciec capnie go za kark, jak tylko Hulusi stanie w drzwiach, ale ojciec zamiast tego uśmiechał się i matka również. Hulusi wlewał w siebie rakię i wychodził, kiedy miał ochotę. Natychmiast po jego wyjściu znikaly maski uśmiechu z twarzy rodziców. Ojciec wkładał ręce do kieszeni i zaczynał nerwowo krążyć po pokoju. Matka pogrążała się w milczeniu. Ten tak pogardzany człowiek był Aniołem Stróżem naszej rodziny. Bez jego pomocy moja siostra nie mogłaby chodzić do szkoły pedagogicznej, później zaś ja nie miałbym żadnych szans, by dostać się na uniwersytet. Ale o tych sprawach wtedy nie wiedziałem. Nie wiedziałem, że nasz sąsiad Hulusi, który mieszkał piętro wyżej, był najbardziej wpływową osobą w miasteczku. Nie wiedziałem, że za opiekę Anioła Stróża moi rodzice płacili stały haracz: wyrzeczenie się godności. Nie wiedziałem także o wielu innych rzeczach, których życie miało po kolei mnie nauczyć. W tamtych latach mój mózg podsuwał mi proste, wygodne, otwarcie mogę je nazwać konformistycznym, wyjaśnienie wielkich dylematów: wszyscy ludzie są aktorami, także nauczyciele, także rodzice. Zdejmują i nakładają maski. Ja również, podobnie jak dorośli, musiałem przygotować swoje maski. Takie było ostateczne rozwiązanie zagadki, jakie wymyśliła moja głowa. Jeśli chodzi o dylemat, byliśmy czy nie byliśmy najszczęśliwszymi dziećmi na świecie, to rozstrzygnąłem go w sposób, można powiedzieć, oryginalny. Byliśmy i nie byliśmy. Podobnie jak psy w miasteczku. Według +

mnie, bezpańskie psy nie były szczęśliwe. Przepędzano je kopniakami wszędzie, gdzie się pojawiły, nie mówiąc o zatrutej wątrobie ojca Sherifa. W przeciwieństwie do nich psy domowe (generalnie ci, którzy posiadali dom z ogrodem, trzymali psy – zwłaszcza małe pieski) musiały być najszczęśliwsze pod słońcem. Także Vilma miała pieska. Białego szczeniaka z kudłatą sierścią.

Vilma była oczkiem w głowie Xhody. Piesek był oczkiem w głowie Vilmy. Postanowiłem otruć pieska Vilmy.

czerwiec–grudzień 1991

Tłumaczenie z języka albańskiego: **Dorota Horodyska**

Fragment niepublikowanej w Polsce powieści Fatosy Kongoliego **I Humburi** (Przegrany), Tirana 1992